

PISMO OZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” W POLITECHNICE WARSZAWSKIEJ

Nr 21/2015/112-e

WYDANIE SPECJALNE

Batalion „Zośka”

– batalion Armii Krajowej biorący udział w Powstaniu Warszawskim, składający się przede wszystkim z członków „Szarych Szeregów”, konspiracyjnego Związku Harcerstwa Polskiego; dowódcą batalionu był Ryszard Białous „Jerzy”.

„Ludzie, którymi miałem zaszczyt dowodzić, to nie wyspa oderwana od społeczeństwa ani cierpiętnicy, dla których było ideałem polec za Ojczyznę, lecz świadomi swych obowiązków młodzi obywatele.”

harc mistrz Ryszard Białous

Batalion, utworzony pod koniec sierpnia 1943 r., przyjął nazwę „Zośka” dla upamiętnienia postaci



dowódcy warszawskich Grup Szturmowych Tadeusza Zawadzkiego „Zośki” poległego w akcji na posterunek graniczny w Sieczkach.

Batalion w olbrzymiej większości składał się z podchorążych. Żołnierze batalionu brali udział w akcjach dywersyjno-sabotażowych, m.in. mających na celu niszczenie kolejowego transportu Wehrmachtu zaopatrującego front wschodni. Przed Powstaniem uzupełniono batalion do pełnego stanu 3. Kompanii.



W Powstaniu Warszawskim batalion walczył w Zgrupowaniu AK „Radostaw” na Woli i Starym Mieście, skąd kompania „Rudy”, dowodzona przez Andrzeja Romockiego „Morro”, jako jedyna spośród załogi staromiejskiej przebiła się do Śródmieścia przez placówki niemieckie w Ogrodzie Saskim.

W czasie walk na Czerniakowie i Mokotowie batalion został połączony z równie zdziesiątkowanym batalionem „Parasol”.

Kompania „Rudy” została uznana przez dowództwo AK za najlepszą spośród 40. tysięcznej załogi żołnierzy walczących w Powstaniu Warszawskim, m.in. w brawurowym ataku zdobywając obóz koncentracyjny.



Patrol z II plutonu „Alek” 2. kompanii „Rudy” Batalionu „Zośka” 5. sierpnia w wyzwolonym obozie koncentracyjnym na Gęsiówce

Za walki w Powstaniu Naczelný Wódz odznaczył batalion „Zośka” Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari.

Dzień chwały największej baonu Zośka i...

22. września, gdy dowództwo Armii Krajowej zaczęło realnie myśleć o kapitulacji, a 1. Armia Ludowego Wojska Polskiego zaprzestała prób forsowania Wisły, czyli pomocy Powstaniu, w tym dniu opuszczone przez jednych i drugich niedobitki batalionu „Zośka” rozegrały swój ostatni 24-godzinny bój – najcięższą, a zapewne i najszczytniejszą walkę w całym Powstaniu Warszawskim, co patrząc na szlak bojowy tego oddziału – obrona cmentarzy wolskich do 11. sierpnia, potem niezłomna 3-tygodniowa obrona Starówki (Stawki, Getto, PWPW, Jan Boży i okolice – róg Bonifraterskiej i Konwiktorskiej), po niej niemające porównania w dziejach wojen na świecie przebicie się do Śródmieścia przez kilka linii obrony niemieckiej, następnie osamotniona obrona odciętego Czerniakowa – jest trudne do wyobrażenia i niewątpliwie budzące wielki podziw. Dodawszy do tego kilka dni wcześniej śmierć ukochanego dowódcy Andrzeja „Morro”, który wyprowadzał swoich chłopców i dziewczęta z najgorszych kabał, zdaniem płk. Radosława „**najlepszy dowódca kompani**” z jakim miał się ów zawodowy wojskowy przez okres 30-letniej służby spotkać i zaginięcie jednego z najwartościowszych ludzi z tego najwartościowszego oddziału porucznika „Xiążę” Andrzeja Samsonowicza (brata późniejszego rektora Uniwersytetu Warszawskiego) podczas zapewniania możliwości przeprawy wiślanej jednostkom Armii LWP Berlinga, całkowitą izolację od innych powstańczych dzielnic, głód i pragnienie pomimo bliskości Wisły i przychodzącej z jej drugiej strony słabej, niewystarczającej pomocy, jest to chyba niemożliwe do wyobrażenia.

Adam Borkiewicz napisał: „*Piątek 22.09 stał się dniem klęski oddziałów polskich broniących przyczółka (czerniakowskiego), a jednocześnie dniem ich chwały*”.

Określenie „*symbol chwały*” idealnie pasuje do losów obrony domu przy ulicy Wilanowskiej 1 i okolicy.

Po 16. dniach samotnej, niesamowicie zaciętej obrony dzielnicy Czerniaków (nierzadko piętro, korytarz, piwnica przechodziła kilkakrotnie z rąk do rąk, by zostać zburzona, spalona lub oddana Niemcom) w rękach polskich pozostała tylko jedna dość pokaźna kamienica, której broniło około 200. powstańców, prawie wszyscy ranni lub kontuzjowani, wszyscy głodni i zmęczeni. Przy życiu i walce utrzymywała ich tylko jedyna nadzieja na rychłą, obiecaną przez dowództwo 1. Armii LWP przeprawę na praski brzeg Wisły. W nocy z 21. na 22. września nie doczekano się jej, ale rodacy z drugiego brzegu obiecywali przeprowadzić ją w godzinach rannych: „*Tylko wytrwajcie!*” – zapewniali oficerowie LWP przez czynną jeszcze radiostację.

O 5:30 rano na krótko przed świtem Niemcy gwałtownie zaatakowali tyły tej ostatniej kamienicy, jednak szybkie przeciwuderzenie ppor. „Witolda”, niewątpliwego bohatera tego dnia, odrzuciło ich na pozycje wyjściowe.

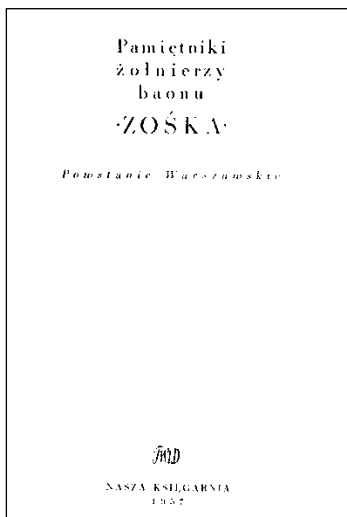
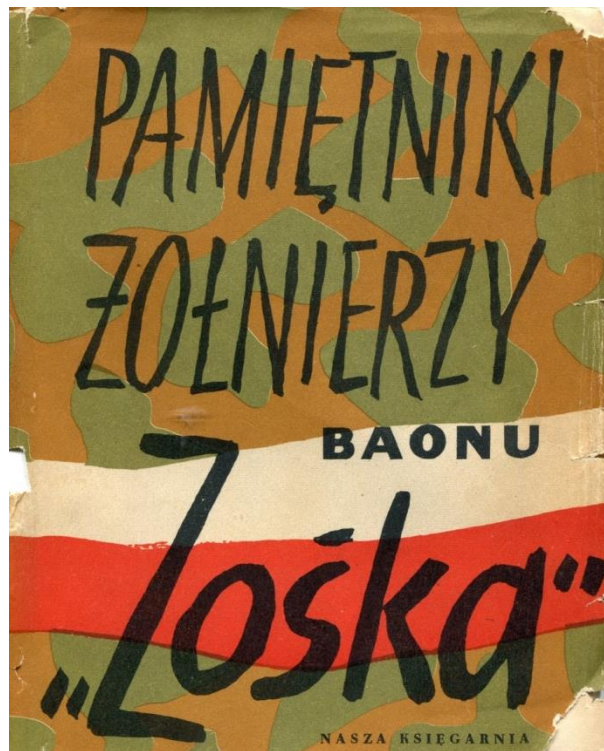
8:00 rano – dowódca 3. dywizji 1. Armii LWP przełożył obiecaną przeprawę na godz.9-tą, w tym czasie Niemcy swoimi karnymi kompaniami powtórzyli karkołomnie atak, który mimo dużych strat dotarł do tylnej ściany naszej reduty. Natychmiast wybili w ścianach dziury i zaczęli nimi wrzucać granaty. Niektóre udało się im przez te dziury odrzucić i to oraz kolejny kontratak „Witolda” zmusił po walce na podwórzu tego domu Niemców do ucieczki.

Do godz. 9-tej Niemcy zaproponowali rozejm dla zabrania rannych i ewakuacji pozostałych w domu cywilów. Kilka minut przed 9-tą Niemcy wiałołomnie zaczęli oblewać budynek benzyną, korzystając z przerwy w walce. Wyczuł to w czas ppor. Witold i ogniem rkm-u spędził podpalaczy. Jednak pobliski garaż stanął w ogniu, który niebawem objął I piętro domu. Oczywiście przeprawa nie doszła do skutku, przełożono ją na godz. 12-tą. Pretekstem było zagubienie środków chemicznych mających położyć zasłonę dymną. Cały czas stanowiska polskie były pod nieustannym ogniem z granatników i karabinów maszynowych.

10:00 silne natarcie npla z 3. stron, wsparte działami szturmowymi (mimo że za Wisłą stały potężne baterie artylerii radzieckiej i polskiej LWP). **„Piekło, które się rozpętało nie da się z niczym porównać”** wspomina kpt. Jerzy Białous. Niemcy znowu przyparli do ścian zgłiszczą domu i razili ukrytych w nim obrońców. W tym groźnym momencie ruszyło przeciwnatarcie rzucone przez kpt. Jerzego **„aby wydrzeć nplowi stanowiska, bez których przeprawa byłaby niemożliwa”**. Wsparte w końcu przez artylerię zza Wisły, osiągnęło powodzenie, Niemcy uciekli, lecz pożar rozszerzał się na polskich stanowiskach. Przeprawa została odłożona na godz. 20-tą...

Józef Zawadzki – fizykochemik i technolog, rektor Politechniki Warszawskiej, ojciec „Zośki” i Anny Zawadzkiej.

Studiował na Uniwersytecie Warszawskim, za udział w strajku studenckim w 1905 r. został relegowany i przeniósł się do Krakowa, gdzie podjął studia chemiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, kończąc je w 1910 r. z tytułem doktora filozofii. W Karlsruhe u prof. Habera prowadził badania z elektrochemii i na tamtejszej politechnice uzyskał tytuł inżyniera chemika. W latach 1912-1913 pełnił funkcję asystenta u profesorów P. Askenasego i K. Buntego na Politechnice w Karlsruhe. Po powrocie do Warszawy w 1915 roku, z chwilą otwarcia Politechniki Warszawskiej, podjął pracę jako asystent w Katedrze Chemii Ogólnej. W 1918 roku został kierownikiem utworzonej Katedry Technologii Chemicznej. W 1923 roku został mianowany profesorem. W latach 1926–27 i 1929–30 był dziekanem Wydziału Chemii, a w 1936–37 i 1938–39 piastował godność rektora Politechniki Warszawskiej. W czasie II Wojny Światowej współpracował z Delegaturą Rządu na Kraj jako członek Komisji Szkół Wyższych oraz z Komendą Główną AK. Był przewodniczącym Rady Wychowawczej Szarych Szeregów, w których jego syn Tadeusz dowodził warszawskimi Grupami Szturmowymi. Na terenie Politechniki Warszawskiej działał w tajnym nauczaniu, a także wraz z Marcelim Struszyńskim przeprowadził analizę paliwa niemieckich rakiet V2, dowodząc na podstawie kilku prostych eksperymentów wykonanych w warunkach domowych, że jest to stężony nadtlenek wodoru. Prowadził wykłady w Państwowej Szkole Chemiczno-Ceramicznej II stopnia od listopada 1942 roku. W kwietniu 1942 roku rozpoczął wykłady w budynkach politechnicznych Państwowej Wyższej Szkoły Technicznej na Wydziale Chemii Technicznej. Brał udział w tajnym nauczaniu na poziomie akademickim nie tylko chemików, opiekował się także kompletami zainteresowanych budownictwem okrętowym. Przyczynił się walcie do odbudowy Wydziału Chemicznego PW. W 1947 r. został doktorem honoris causa uczelni. Do końca życia kierował Katedrą i Zakładem Technologii Nieorganicznej. Był też członkiem prezydium Akademii Nauk Technicznych.



AUTORZY PAMIĘTNIKÓW

ALI	— Jerzy Waleszkowski
ANDRZEJ POL	— Wiktor Szeliński
BORUTA	— Witold Sikorski
CZART	— Stanisław Lechmirowicz
JELEN	— Witold Danysz
JUR	— Andrzej Woiski
KMITA	— Henryk Kozłowski
LAUDAŃSKI	— Bogdan Deczkowski
LESZCZYC	— Tadeusz Sumiński
MAREK	— Tadeusz Żuchowicz
MIS	— Henryk Deminet
PANI STASIA	— Stanisława Kwaskowska
SYNON	— Wojciech Szymanowski
WIKTOR (KADEŁUBEK)	— Witold Bartnicki
ZOSIA	— Zofia Stefanowska
ZYGMUNT	— Zygmunt Zbichorski

Książka, którą oddajemy do rąk Czytelnika, jest wyborem pamiętników napisanych, w ogromnej większości, w latach 1945—47. Pamiętniki nie omawiają wydarzeń w sposób dokładny i bezbłędny. Prawdziwość ich polega na wiernym, szczerym, nie zbeletryzowanym opisie przeżyć. Czytelnik znajdzie w nich różnorodność wrażeń, komentarzy, opinii, a nawet sprzeczności w opisie samych wydarzeń, których świadkami byli autorzy.

Ingerencja redaktorska ograniczyła się tu tylko do nielicznych komentarzy.

Poszczególne rozdziały-pamiętniki różnią się poziomem literackim i sposobem potraktowania tematów. Ingerencja redaktorska i w tym zakresie jest minimalna, ograniczona do nielicznych poprawek stylistycznych dla łatwiejszego czytania prac, lepszego zrozumienia tekstów.

Do wyboru włączono większość dotychczas napisanych pamiętników byłych żołnierzy „Zośki”, eliminując prace nie posiadające charakteru ściśle pamiętnikarskiego lub powtarzające wspomnienia różnych autorów — jeśli nie wnoszą one nowych elementów wrażeń. W niektórych z wybranych pamiętników skreślono dygresje, powtórzenia i dłużyzny, nie mieszczące się w pracy zbiorowej o określonej koncepcji redakcyjnej. Całość materiałów w nie uszczuplonych i w niczym nie zmienionych rękopisach dostępna jest każdemu, kto się nimi zainteresuje. Książkę podzielono na trzy części: Wola, Starówka i Czerniaków, zgodnie z trzema kolejnymi etapami walk batalionu. Poszczególne pamiętniki uszeregowano, w miarę możliwości, chronologicznie.

Całość materiału nie obrazuje jednak, nawet w przybliżeniu, historii powstańczych walk batalionu. Wiele ważnych akcji nie zostało nawet wspomnianych, podobnie jak i ogromna większość żołnierzy „Zośki” w ogóle nie jest w pamiętnikach wymieniona. (Nie jest np. opisana żadna z akcji kompanii Giewonta).

Uzupełnienie tych braków jest często niemożliwe, ponieważ w licznych wypadkach spośród uczestników wielu akcji lub żołnierzy niektórych plutonów nie przeżył Powstania ani jeden człowiek.

T A D E U S Z S U M I Ń S K I

Tadeusz Sumiński

„Leszczyc”, walczył w plutonie „Felek”. Był redaktorem pierwszych edycji wspomnień.

Ludziom, którym dane było stykać się z batalionem „Zośka”, nazwa ta kojarzy się zawsze z dwoma zjawiskami:

nieprzeciętnie wysokimi wartościami i

nieprzeciętnie wysokimi stratami.

W historii batalionu dwa te zjawiska łączą się nierozzerwalnie. Nieprzeciętne wartości każdej straty pomnożone przez nieprzeciętną ilość strat oznaczają tym większą, tym bardziej dotkliwą łączną stratę społeczną, łączną stratę narodu.

W tragicznym splocie tych zjawisk zawiera się ze szczególnym może nasileniem problem Powstania Warszawskiego.

Problem batalionu „Zośka” nie jest problemem innym. Jest tylko problemem bardziej ostrym, bardziej zogniskowanym. Dlatego „Zośka” podnoszona jest często do roli symbolu. Wprawdzie wartość każdego krótkiego życia chłopca-żołnierza osiągnęła wyżytny, jakich nie dałyby jej może całe dziesiątki lat zarobione uchyleciem się od takiej służby, lecz społeczeństwo, społeczeństwo poniosło stratę w tym pokoleniu, nie otrzymując z rąk wychowawców kadry przyszłych budowniczych przyszłej Polski.

Zygmunt Zbichorski

– profesor zwyczajny nauk technicznych na Politechnice Warszawskiej i Politechnice Śląskiej.

Ukończył kolejno Państwową Szkołę Przemysłową, Wydział Chemiczny w Bydgoszczy, Państwową Szkołę Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. H. Wawelberga i S. Rotwanda w Warszawie, Politechnikę Lwowską i Politechnikę Śląską w Gliwicach.

Pracę zawodową rozpoczął w 1937 r. jako technolog w Państwowej Fabryce Karabinów w Warszawie. W 1938 r. ukończył z pierwszą lokatą wojskową szkołę im. Józefa Bema w Zambrowie i został przydzielony do I pułku artylerii najcięższej. We wrześniu 1939 r. został dowódcą II plutonu 3. baterii i awansował do stopnia podporucznika. W czasie II Wojny do 1943 r. przebywał we Lwowie, potem wrócił do Warszawy, brał udział w Powstaniu Warszawskim w zgrupowaniu AK „Radosław”, batalion „Zośka”.

Od stycznia 1945 r. uczestniczył w rozwijaniu ruchu naukowego organizacji i kierowania, w tym pisma „Przegląd Organizacji”. Od 1965 r. w Politechnice Warszawskiej, na Wydziale Mechaniki Precyzyjnej, a następnie Wydziale Mechaniczno-Technologicznym.

SZTURM NA SZPITAL ŚW. ZOFII

4 sierpnia

Natarcie na silny ośrodek oporu zorganizowany w kompleksie budynków... przy ul. Żelaznej - Leszno... rozwija się... przy wsparciu zdobytego czołgu „Pantery”.

(Komunikat Dowództwa AK nr 23 — Biuletyn Informacyjny nr 43 — 250)

Wacek wrócił z odprawy w dowództwie. Zadaniem miało być zlikwidowanie niemieckiej twierdzy — szkoły żandarmerii na ulicy Żelaznej tuż przy Lesznie. Szpital św. Zofii, znajdujący się obok szkoły żandarmerii, był również umocniony i jego punkt oporu nr 105 miał być zlikwidowany.

Dowódcą natarcia wyznaczono majora Bolka.

O godzinie 11 Wacek prosił mnie, abym pomógł mu ustawić panterę na cele wyznaczone przez dowództwo. Poszliśmy. Obok jedzie pantera, czołg zdobyczny — czterdzieści ton żelaza, przed którymi nie ma obrony i nie ma, przynajmniej w naszych oczach, żadnych niemożliwości.

W rzeczywistości motor pracował wadliwie, gdyż jeden z pływaków w karburatorze był dziurawy, a ciężarki i cuda, jakie wyczyniał majster Uniewski, wymagały częstej jego obecności.

Czołg ruszył — miał wyborową załogę. Należy wyjaśnić, że Wacek, jako długoletni kierownik wyszkolenia motoryzacyjnego wszystkich oddziałów harcerskich, nie mógł się powstrzymać przed szkoleniem chłopców, gdy się czołg naprawiało lub czyściło.

Było więc kilka załóg obsługi na zmianę, a ta, która wówczas wielu innych przygodach brała udział — była znakomita.

Oficerem dowódcą	był porucznik Rawicz
kierowcą	— podchorąży Ryk
celowniczym	— podchorąży Bajan
zamiennym	— podchorąży Wiktor
strzelcem	— kapral Walek

Wjechaliśmy na podwórzec jakiejś fabryki, tuż przy Monopolu Tytoniowym. Nasz kolega, podporucznik Gałązka, pełniący funkcję pierwszego oficera w batalionie „Miotła” kapitana Niebory, wskazał nam na swym szkicu bojowym gniazda karabinów maszynowych i miejsca, z których niemieccy strzelcy tak prażyli, że nie można było wychylić głowy.

Byliśmy w polu obstrzału. Piękna pogoda i stałe przelatywanie niemieckich samolotów zmuszało nas do ostrożności. Panterę ustawiliśmy na wolnej przestrzeni tak, aby mogła obsłużyć sześć celów. Z kolei wysunęliśmy się we trzech, to jest: podporucznik Gałązka, Wacek i ja na przedpole, aby sprawdzić z punktu artyleryjskiego teren zamierzonego natarcia kompanii kapitana Niebory, do którego — jako wsparcie artyleryjskie — zostaliśmy przydzieleni.

Wysunęliśmy się na gruzy getta; tu i ówdzie zaświstało, poszedł kurz czerwony, wyznaczający odchylenie drogi kilku gramów metalu od głowy.

Wszystko omówiliśmy. Czołg, po oddaniu sześciu — dziesięciu strzałów na cele w budynkach oznaczonych na planie nr 103 i nr 104, miał zawrócić do Monopolu Tytoniowego i zająć na gruzy getta.

Z nowego stanowiska trzeba było tak strzelać, aby unieszkodliwić wszystkie karabiny maszynowe, i tym samym umożliwić podejście naszej piechocie z jak najmniejszymi stratami.

Godzina 12.30.

W chwili gdy chciałem wrócić do kwatery, by przygotować akumulatory na zmianę do czołgu, porucznik Wacek został wezwany na odprawę. Na jego prośbę miałem pozostać

przy czołgu do jego powrotu. Przed wyjściem zakłócał mnie na wszystko, żeby bez niego nie oddać ani jednego strzału.

Wyciągnęliśmy się na trawie, osłonięci ceglanym murem, i czekamy. Pancerniacy śpiewają piosenkę po piosence.

— Robota, aż wstyd — mówi Rawicz — czołg jak się patrzy, a będzie służył tylko za armatę. Jak się ma jednego konia, to i w zaprzęgu chodzi, i pod siodłem.

O godzinie 13.30 przyszedł do nas w odwiedziny Stefan i powiedział, że szturm odłożono na 17, ale żadnego meldunku nam nie przysłano, a co gorsza — batalion kapitana Niebory zaczął szykować się do ataku.

Podporucznik Gałązka, wielkie chłopisko w panterce, którą mu przynieśliśmy, i w przeciwiwiperytowych portkach latał i szykował atak.

Więcej niż stu chłopców w bardzo słabym uzbrojeniu; na oko wydawało się, że połowa była uzbrojona tylko w siodłówki* i flaszki z benzyną.

Wstałem bardzo zaniepokojony. Żaden z nich nie doleci do celu obstawionego bunkrami, z którego ogień może tworzyć zamkniętą linię.

Idę do Gałązki i mówię mu:

— Czekaj, chłopie, podobno odłożono szturm, najlepszy dowód, że nie ma jeszcze Wacka.

— Mamy rozkaz rozpocząć atak o czternastej i nie było żadnej zmiany tego rozkazu.

— Do diabła, przecież to pewna śmierć, nikt z was nie doleci nawet do połowy drogi.

Kapitan Niebora, któremu meldowałem to samo, nie chciał wysłać gońca z zapytaniem, czy termin szturm przesunięto.

Za minutę godzina 14.

Idę jeszcze raz do Gałązki i w słowach bardzo wojskowych tłumaczę mu, co o tym myślę. Powiedziałem mu, że nie mam rozkazu strzelania i tylko przez lornetkę będę mógł liczyć ich zwłoki.

Gwizd.

* Granaty produkcji konspiracyjnej.

Wysuwa się linią wojsko kapitana Niebory. Na przedzie obok kapitana, choć zgięty, posuwa się podporucznik Gałązka. Jeszcze dwie trzecie chłopców nie wyszło spoza murów, a powietrze zaroilo się od kul nieprzyjacielskich.

Niech to wszyscy diabli wezmą! Gdzie jest Wacek? Żeby w takiej chwili się spóźniać!

— Obsługa, do czołgu! — dałem rozkaz.

Rawicz, według omówionego planu, położył ogień.

Wojsko, które pod ogniem nieprzyjaciela już zaczęło się załamywać, jakby otrzymało zastrzyk — ruszyło naprzód.

Pierwszy strzał wywalił narożnik domu, tak że cała obsługa z karabinem wyleciała na ziemię.

Po oddaniu ośmiu strzałów czołg zawraca i bardzo szybko podąża na nowe stanowisko. Po drodze łatwo forsuje bramę Monopoli i barykadę z wagonetek wąskotorowych. Jeszcze przejazd przez pole obstrzału i znów czołg jest na stanowisku.

Trudność polega na tym, że z czołgu niełatwo obserwować pojawiające się gniazda karabinów maszynowych, które strzelają do nacierających naszych żołnierzy. Przez peryskop nie widać także atakujących, gdyż zwały gruzu getta zupełnie ich zasłaniają.

Szybka decyzja. Musimy wysunąć na przedpole obserwatora i z braku telefonu zrobić łańcuch ludzki powtarzający rozkazy do czołgu.

Rawicz został przy czołgu — ja wypelzłem na przedpole, po uprzednim umówieniu się z porucznikiem Rawiczem co do punktu wyjściowego, od którego należy przenosić ogień.

Położyliśmy ogień po dachach na całym froncie, a następnie obniżaliśmy ogień co piętro. Najniższy celownik pozwalał strzelać do drugiego piętra.

Rawicz przesłał meldunek, że wieża czołgu zacięła się i zmianę celu będzie wykonywał dłużej, ponieważ musi zmieniać położenie lufy całym czołgiem.

W tym czasie Gałązka przysłał łączniczkę Ninę z prośbą, aby położyć ogień w bok od szkoły, gdzie z podwórza Niemcy strzelają na posuwających się chłopców.

Łączniczka Nina, umazana i uśmiechnięta, powiedziała, że bez armaty robota trwałaby pięć minut, a tak może dojść.

Przez lornetkę widziałem, jak dowódca i Gałązka skakali od załamka do załamka gruzu, a chłopcy tyralierą posuwali się naprzód. Robiliśmy wszystko, co było można. Lufa naszej armaty była gorąca.

Jeszcze sto metrów, jeszcze kilkanaście — a chłopcy dosięgną bunkrów, które wprost buchają ogniem.

Obstrzał się wzmacnia, ledwo usiedzieć można, a tu pułkownik Radosław przyczołgał się do mego stanowiska i wzięwszy ode mnie lornetkę spojrzał na przedpole.

— Nie dojdą, będzie zaraz odwrót. Kto panu kazał strzelać? Proszę ułatwić im odwrót i zameldować się u mnie.

Czołg, aby strzelać w bunkry, musiał podnieść tył przez wjechanie na górę gruzu.

Chłopcy mocno się napracowali. Dopiero kiedy wojsko kapitańskie Niebory wycofało się, zszedłem ze swego punktu.

W momencie gdy porucznik Rawicz podniósł rękę, aby dać ostatni strzał, nadbiegł porucznik Wacek klnąc:

— Któż do cholery kazał ci strzelać?

Powiedział jeszcze dużo więcej...

Usiadłem na kupie gruzów i myślę sobie: „Teraz pokłóciłem się z przyjacielem, za godzinę znów rozmowa z pułkownikiem”.

Gdy tak rozmyślałem, przysiadł się do mnie podporucznik Gałązka i rzucając mi się na szyję powiedział:

— Zygmus, tyś nas uratował!

Rozmowa z pułkownikiem była przyjemna.

Wacek też mnie przeprosił.

Kapitan Niebora otrzymał rozkaz o przesunięciu godziny natarcia — 12 minut po godzinie 14.

Szturm, który miał być wykonany kilkoma kompaniami, wykonała tylko jedna.

Dzięki wsparciu naszego plutonu pancernego uratowaliśmy życie dużej ilości chłopców.

ULICA SPOKOJNA

2 sierpnia

11.30 ...D-ca „Brody” melduje o zdobyciu szkoły przy ul. Spokojnej...

(Dziennik bojowy zgrupowania „Radosław”)

Pluton szalał z radości, bo przed chwilą zdobyto czołg, cały, nie spalony, z małym tylko defektem w motorze. Chłopcy jak małpy wdrapywali się na olbrzymie cielsko niegroźnej już pantery i z zaciekawieniem oglądali każdy szczegół tej olbrzymiej maszyny wojennej. Naturalnie Kuba z Anodą już byli w środku i podawali Słoniowi, nachylonemu ku kłapie wjazdu, co się dało. A więc mundury, celty*, amunicję, jedzenie, papierosy i tak dalej, a było tego sporo. Niemcy to jednak przewidujący naród. Wszystko to wędrowało w jedno miejsce i miało być później sprawiedliwie rozdzielone, naturalnie za zgodą dowództwa. Coraz to wydobywające się z wnętrza okrzyki świadczyły o nowych zdobyczach.

Od strony ulicy Mireckiego nadbiegła łączniczka.

— Do dowódcy plutonu — rzekła stereotypowo do grupy chłopców otaczających czołg.

— Kuba! Kuba! Wyłaż! Łączniczka z dowództwa!

Notatki z Powstania `44

OSTATNI ROZKAZ

Walki Batalionu „Zośka” na Czerniakowie

ANDRZEJ WOLSKI – „JUR”

>Jak spod ziemi, zjawił się Andrzej Morro.

– Czyścić broń ! Zarządzam ostre pogotowie !

Czyli do widzenia wizyty i spacer po Śródmieściu, gdzie w pierwszy dzień po przebicciu się ze Starego Miasta z niedowierzaniem dotykaliśmy szyby w oknach i stawaliśmy na widok spacerujących beztrosko ludzi. Także chyba koniec naszego „urlopu”. Żegnajcie czerwone róże rozpięte na całych jeszcze murach, żegnajcie wciąż jeszcze zielone drzewa, żegnajcie te chwile kojącej ciszy graniczące z nieziemskim wymiarem.

Zaczęło się ściemniać. Idziemy w szyku bojowym, wybierając drogę na tyłach domów. Już Plac Trzech Krzyży, trzeba teraz przeskoczyć do Instytutu Głuchoniemych. Idziemy w dół dużym ogrodem wzdłuż ulicy Książęcej. Uwaga! po prawej stronie tereny Sejmu obsadzonego przez silne oddziały niemieckie. Ludna, Rozbrat to już pozycje naszych. Jest ciemno kiedy dochodzimy do Szkoły Dziennikarskiej na Rozbrat, naszej nowej kwatery. Podobno są tu zebrane resztki Zgrupowania Radosława, z płk. „Radosławem” na czele.

Rzeczywiście parę dni spokoju. Lizemy nasze rany. Andrzej wyżywa się w reorganizacji kompanii, której stan zmniejszył się do plutonu. Wizytuje nas „Radosław”, po czym mamy odprawę, na której „Amorek” kreśli listę awansów i odznaczeń. Podziwiam jego metodyczność. Z naszego batalionu została już praktycznie tylko kompania, więc niewiele jest do notowania i sprawdzania. Na ogół panował spokój poza normalną wymianą serii z kaemów, co według kodu wojennego oznaczało, że czuwamy. Nasze pozycje obronne miały przed sobą duży trawnik, który wspinał się między rzadkimi drzewami aż do półokrągłego budynku Sejmu. To duże przedpole, ziemia niczyja, było przedmiotem ciągłej obserwacji przez nasze posterunki rozmieszczone na pierwszym piętrze zajmowanego przez nas budynku Wyższej Szkoły Dziennikarskiej. W dzień trudno było przypuszczać, żeby ktoś odważył się pokazać na przedpolu. Natomiast w nocy czuj- duch. Jedno było pocieszenie, że oni bali się tyle samo co my. Tak więc były dni „wolne,” z czego bardzo się cieszyłem.

Niedaleko naszych pozycji, przy ulicy Mącznej, mieszkała moja babka. Znalazłem ją w półrozwalonym domu. „Gruba Berta” zmiotła prawie całą sześciopiętrową kamienicę. Babcia siedziała w bujanym fotelu i robiła na drutach. Bardzo pogodna, przywitała mnie jakby nic się nie stało. Poprosiła tylko, żebym przymknął drzwi od balkonu. Kłopot jednak był w tym, że nie tylko nie było drzwi, ale brakowało również całej ściany razem z balkonem. Zastawiłem dziurę czym mogłem i zajrzałem do kuchni, gdzie wszystko było powywracane i rozsypane. Nie znalazłem ani jednego kawałka chleba. W dzbanku trochę wody. Szczęśliwie na Czerniakowskiej była czynna piekarnia i raz dziennie można było dostać bochenek czarnego chleba. Moje wizyty stały się codzienne. Szalik z grubej wełny, który, jak się okazało, babcia robiła dla mnie, z każdym dniem przybierał na długości. Zastanawiało mnie tylko skąd babcia wydobywa tyle wełny, bo szafy porozwalane podmuchem były puste. Doszedłem do wniosku, że babcia śpi na kłębkach wełny.

Był ranek czternastego września. Nagle na niebie pojawiły się małe kadłuby samolotów. Ich czerwony kolor kontrastował z błękitem. Leciały z zawrotną szybkością pobłyskując metalem skrzydeł. Armia radziecka musi być blisko. „Migi” zniknęły nagle, tak jak się pojawiły. Nie słysząc artylerii przeciwlotniczej. Może nie zdążyli nacelować. Jakoś rażniej. Andrzej przyszedł z wiadomością, że została nawiązana łączność z tamtym brzegiem. Tymczasem Niemcy nacierają wzdłuż Czerniakowskiej. Walki toczą się już na Okrąg. Wczoraj nie zaniósłem babci chleba.

Może już niedługo. Wiemy wszystko. Los 27. Wołyńskiej Dywizji AK przypieczętowany został zdradą partyzantki sowieckiej. Ginie jej dowódca, major Jan Kiwerski, nasz dawny „Dyrektor” Kedywu. Nasi chłopcy, którzy zdobyli Wilno, rozbrojeni przez armię sowiecką, powywożeni do obozów; generał „Wilk” aresztowany wraz z oficerami. Ale może wszystko się zmieniło. Przecież niemożliwe, żeby nie pomogli, będąc z drugiej strony Wisły. A poza tym Anglia i Ameryka nie zostawia nas samych.

W południe rozkaz: ostre pogotowie! Przygotować broń! Uzupełnić amunicję! Zdaje się, że nasz urlop skończony. Na przedpolu Sejmu pojawiły się patrole niemieckie. Chyba zbliża się generalne natarcie. Na razie – aby utrzymać pozycje do zmierzchu. Niemcy nie lubią ciemności. Przez całe popołudnie nic się nie dzieje. Od strony ul. Okrąg ucichło trochę. Robi się ciemno. Może noc będzie spokojna. Ledwo przemknęła mi przez głowę taka myśl, kiedy biegiem wpadł „Morro” wykrzykując z daleka:

– Przygotować się do natarcia! Za godzinę wymarsz. „Witold”, „Słoń”, „Jur”, do mnie! Jest nawiązana łączność z armią Berlinga. Musimy oczyścić brzeg Wisły, aby stworzyć przyczółek dla desantu.

Przełykam szybko ślinę ze wzruszenia. A jednak... Przecież wierzyłem, że nie może być inaczej. Jednym uchem chwytam, że musimy dotrzeć do Solca i posuwać się w kierunku Wilanowskiej. Odcinek od Zagórnej do Wilanowskiej będzie terenem lądowania. Czyszczę z zapalem mój peem zdobyty na Woli. Wszystko chodzi świetnie. Niestety mam tylko jeden zapasowy magazynek, ładuję luzem naboje po kieszeniach panterki. Trochę drżą mi ręce, ale to zawsze zanim nie padną pierwsze strzały.

Idziemy, czarną zupełnie ulicą. Nie wiem, kto jest przewodnikiem, natomiast rozpoznaję ulicę Mączną. Mijamy ruiny dobrze znanej mi kamienicy. Żeby tak babcia wiedziała, że przechodzę tuż obok. Czy w ogóle jeszcze żyje? Tyle dni u niej nie byłem. Nagle słyszę warkot motoru. To chyba nie czołg. Inny dźwięk i warkot płynie z nieba. Nad nami przelatuje wolno i nisko czarny cień dwupłatowca.

– „Jur” podciągaj – dobiega mnie głos „Słonia”. – Przed nami Solec. Biegnij teraz z „Haliczem” po drugiej stronie, wzdłuż muru.

Nagle od strony domów na Solcu pada seria z kaemu. Kule wałą po jezdni i biją niedwuznacznie w naszą stronę. Co najdziwniejsze, w świetle powtarzających się serii widzę, że karabin wali przez okienko piwniczne, przed którym stoi okrakiem „Słoń” i boi się ruszyć, bo strumienie kul przelatują między jego nogami; krzyczy w przerwach między salwami. Nareszcie w ciszy rozlega się głos z piwnicy. – Kto tam do cholery się kręci? – Biegniemy dalej. „Bajka”. Pamiętam doskonale ten spacerowy statek. Jeździliśmy nim ze szkołą na wycieczki do Młocin. Nagle od strony statku klekoczą serie erkaemów. Serie są krótkie, powtarzają się z regularną częstotliwością. To Niemcy.

– Naprzód, krzyczy „Słoń”.

Strzelanina coraz mocniejsza. Pewno pluton „Alek” atakuje. Biegniemy dalej. Słyszę wybuchy granatów. Zaczyna dzień. Przed nami wylania się biały domek stojący samotnie na piasku. Widać już wodę. Krzaki, w których ciągle stoimy, ciągną się prawie do samej rzeki.

„Jur”! Bierz „Halicza”, „Szczęsnego” i „Medyka” i biegnijcie w stronę brzegu. Macie ubezpieczać nasze podejście do białego domku. Licho wie, co tam siedzi. Uważajcie, bo na „Bajce” macie Niemców. Pobiegliśmy luźnym szykiem między krzakami, by zająć stanowiska bojowe. Już miałem krzyknąć padnij, gdy kule zaczęły bić krótkimi seriami rozpryskując piasek przed naszymi stopami. Padliśmy między krzakami.

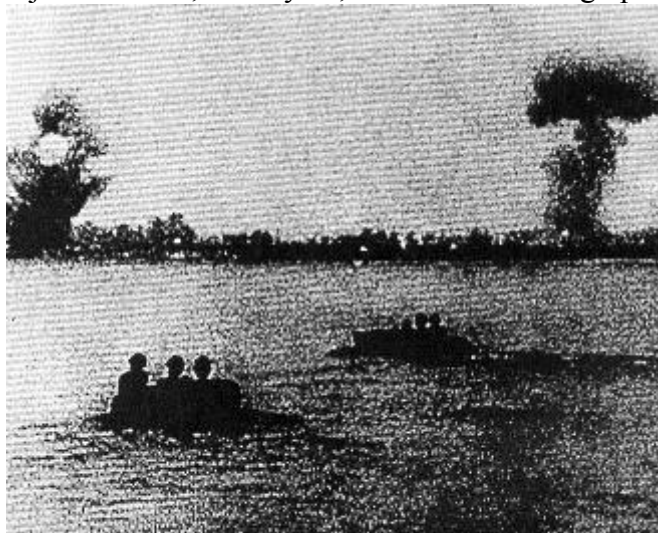
Halt! Halt! Za chwilę coś ciężkiego upada nie opodal. Granat rozpryskuje tuman piasku. Boję się strzelać, bo w gęstych krzakach nie widzę swoich. Niemcy coś krzyczą. Znowu serie erkaemów. Muszą być bardzo blisko, bo czuć zapach prochu. Wpadam prawie na „Szczęsnego”. Korzystam z przerwy w ogniu i krzyczę, żeby się wycofać w stronę domku. Tam gdzieś musi być „Słoń” z resztą plutonu. Przez krzaki przeczołguje się reszta. Posyłam serię na ślepo w stronę Niemców, podrywamy się i szczęśliwie docieramy do białego domku. „Słoń” z resztą penetrują poczerwiałe od ognia niskie murki, pozostałości po jakichś wypalonych budkach. Świetna osłona przed ogniem erkaemów. Na razie od tej strony cisza. Wydaje się jakby ostatni wysunięty punkt niemiecki był na „Bajce”. Po drugiej stronie Solca trzypiętrowy dom na rogu Wilanowskiej. Wobec spodziewanego desantu, chłopcy wywiesili, od strony rzeki, biało-czerwoną flagę. Nagle zaklekotała seria z erkaemu. Świetne kule przeleciały wzdłuż ulicy. Już wiedzą o nas. „Słoń” kazał obsadzić murki na przedpolu białego domku. Znowu cisza. Wiatr powiewa podnosząc pył piasku. Nagle pojawiła się złota czupryna Andrzeja Morro. – Co u was? – Spokojnie.

– Musicie obsadzić stanowiska bliżej brzegu. Niedługo powinni lądować. Ja niedawno byłem prawie przy kościele. Niemcy chyba wycofali się za most. – Andrzej wskoczył na murek. – Zróbcie stanowisko przy tych dużych kamieniach – rzekł – powiedział wskazując ręką miejsce. Pobieglem wzrokiem za jego palcem. Padł strzał. Odruchowo schyliłem się. Ech, tylko jeden, pewno przypadkowy. Nagły okrzyk Słonia przeszył dziwną ciszę.

– Sanitariuszka! – Głos wydobywał się prawie ze szlochem. – Biegiem, Andrzej ranny! Uwaga ostrzał!

Z mojego stanowiska widzę tylko wydmnę piasku, murek przesłania mi miejsce, gdzie przed chwilą stał Andrzej. Zosia wstała z kolan. Widzę jej twarz szarą, nieruchomą. – Trzeba przenieść rannego do szpitala – krzyczy „Słoń”. Nagle milknie widząc wpatrzony w niego wzrok Zosi. – Andrzej nie żyje. – Głos jej jest spokojny, tylko łzy płyną po jej policzkach. Właściwie dopiero teraz naprawdę dociera do mnie rzeczywistość. Wszystko odbyło się tak nagle, tak prosto, że zakrawa na fikcję. Nie w boju, nie w ataku, nie w huraganowym ogniu, tylko ot tak, jakby od niechcenia... jeden strzał i cisza... i nie ma już tak wspaniałego człowieka, odważnego dowódcy...

– „Jur” zobacz na rzekę, płyną łodzie! – „Halicz” podbiega do mnie, schodzimy na brzeg. Jedna już dobiła. Wyskakuje trzech żołnierzy. Zielone mundury, miękkie rogatywki. Dziwny orzeł przyczepiony nad daszkiem. Już wiem. Bez korony. Coś mi błyska z historii, orzeł piastowski. Dwóch ma pistolety maszynowe. Trzeci, z dużym pistoletem u pasa, zbliża się do mnie, jego niebieskie oczy badawczo patrzą na mnie, jakby chcąc przewidzieć moje przywitanie i nagle padamy sobie w ramiona. Czuję oddech blisko mojego ucha. – Słuchaj, ja też jestem z AK, z Wołynia, ale nie mówcie tego przy żołnierzach.



**Przeprawa patroli "Berlingowców" na Czerniaków;
jedyne zdjęcie wykonane z ich kilku przepraw.**

Wysyłamy wiadomość na Wilanowską. Przybiega „Witold Czarny”. Gonią za nim serie pocisków. Podchorąży melduje się jako dowódca zwiadu. – Trzeba jak najszybciej do „Radosława”. Skaczymy przez ulicę. Uwaga silny ostrzał! Biegiem! Tupoczą nasze buty rozgniatając gruz i okruchy szkła. Nagła seria wstrząsa powietrzem. – Szybciej! Kule biją po jezdni. Podchorąży potknął się, nie, pada trafiony. Brać go pod pachy! Nogi bezwładnie wloką się po bruku. Jesteśmy. Pierwszy opatrunek. Podchorąży przytomny, ale bardzo blady, lekko się, uśmiecha. Już są nosze. Cześć, wszystko będzie dobrze...

No, to już niedługo. Rusznice ppanc., cekaemy, wprowadzie stare maximy, ale piorą, nawet działka ppanc. I mnóstwo ludzi. Żołnierze, dowódca major, kapitan zwiadu artyleryjskiego, dwie radiostacje, telefoniści, chłopaki z pepesami i amunicji do cholery. No i dziewczyna, oficer. – „*No paddawaj, paddawaj, bystro job twoju mat*” – pokrzykuje zachęcająco. Jej zielona spódnica ścisło opina potężne pośladki, a żołnierska bluza wzdyma się wysoko na piersiach wzbudzając ogólny podziw. – *Czto tak smatrisz?* – zagadnęła nagle, a jej pucułowata twarz śmiała się od ucha do ucha. *Czto ty dziewczoczki nie widiel?* – Buchnęła mi krew do policzków.

– „Jur”! Biegiem na brzeg z czterema ludźmi – dobiegł mnie głos „Słonia”. – Przeprowadźcie czterech naszych rannych do łodzi. Uwaga na „Anodę”! – Właśnie przybiły jeszcze dwie łodzie. Zaroiło się od zielonych mundurów. Prostokątne skrzynki z amunicją wędrują z rąk do rąk żywego transportera. Najgorzej przez Solec. Wprowadzie dwa działka z cekaemami ubezpieczają, ale z Niemcami nie przelewki.

Na razie dziwna cisza. Niemcy, na pewno zaskoczeni desantem, czekają rozkazów. Ale to już nieważne. Z taką siłą to nie ma mowy. To nie peemy i pojedyncze karabiny maszynowe z bardzo ograniczoną amunicją. Jutro na pewno wypad na Czerniakowską, żeby odbić stracone pozycje na Okrąg, a stamtąd... hej atak na Książęcą, dwie grupy dywersyjne możemy... przez ogród prosto na Sejm i od tyłu, Wiejska, na Piusa i do naszych w Śródmieściu. Ale będziemy krzyczeć, jak wtedy kiedy przebiliśmy się ze Starówki: nie strzelać! Tu Polacy, tu Czerniaków, idzie z nami cała armia! Nie strzelać! Wygraliśmy powstanie ... !!!

Nagle z dala dobiega moich uszu „*Hej chłopcy bagnety na broń...*”. Łódź z rannymi odbija powoli. Plusk wiosła cichnie... *Długa droga przed nami ciężki trud...* Biegniemy. Solec, już Wilanowska. „... *lecz co znaczy dla piechura choćby diabeł sam. Bo dla naszej kompanii szturmowej nie ma przeszkód i nie ma złych dróg...*”. Teraz już i ja ryczę na całe gardło: „...*Raz batalion Uderzenia, kiedy walił poprzez wieś, wychyliła się panienka, w piersi twarda w sercu miękka...*”. – Zaterkotał karabin maszynowy. Gdzieś z bliska.

– Wszyscy na stanowiska – krzyknął kapitan „Jerzy”. Serie powtórzyły się. Tor świetlnych pocisków biegł jednak skosem w górę. Po chwili po ciemniejszym już niebie przesunął się bezszelestnie, na zamkniętym silniku, cień kukuruźnika. Po czym z wielkim szumem spadł na parcelę między domami duży worek, jak się okazało, z sucharami czarnego chleba.

Zbudził mnie tupot nóg, rozkazy wydawane półgłosem, szcęk repetowanej broni. Spałem noc beztróską na pierwszym piętrze, z wielkimi marzeniami, spokojny, że nareszcie ktoś za nas trzyma wartość. Słyszając odgłosy wyraźnych przygotowań do walki znów popadłem w stan radosnego podniecenia. Z dołu dochodzą głosy radiotelegrafistów. *Poniał poniał, Semion, Semion tu Jarpol, tu Jarpol, poniał poniał*. Łączność jest. Luksus. Będzie dobrze. Świst pocisku wierci w uszach. Padnij! Sypią się odłamki z gruzem. Co do cholery? W ścianie nieduża okrągła dziura, jakby wywiercona wielkim wiertłem. Czołgi. Drugie uderzenie wstrząsa domem.

– Wszyscy na stanowiska – krzyczy „Witold”. – Atak czołgów! Rusznice! Na stanowiska! – Głos „Witolda” wyraźnie chrypie. Dopadam mojego poharatanego okna. Od strony kościoła suną wolno cztery pantery. Rusznice ppanc. Wychodzić biegiem! – Witold krzyczy coraz mocniej. Maruszka wyrosła jak spod ziemi. – „*Bystro, bystro sukin-syn, uhadi, w pieriod, ty job twoju mat*”!

– „Jur”! Gamony!

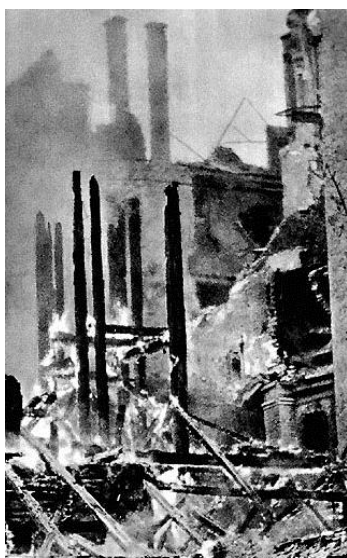
Pstre cielsko czołgu sunie powoli na nas. Odbezpieczam granat. Czarna wstążeczka bezpiecznika przytrzymuje bujający się ciężarek z ołowiu, który w locie wyciągnie zawleczkę i wyzwoli zapłon. Boję się, żeby tylko nie za wcześnie. Wytrzymać nerwy, jeszcze trochę... Wychylam się, żeby mieć zamach. Nagła seria z wieżyczki trafia w ramę okna tuż nad moją głową. Sypią się drzazgi. Rzucam gamon. Jeszcze jedna seria i nagły huk wstrząsa powietrzem. Dym. Nic nie widać. Z boku dwa potężne strzały. To rusznice berlingowców. Poprzez zgrzyt metalowych gąsienic przebijają podniecone głosy Niemców. Z opadającego kurzu wyłaniają się cielska uciekających czołgów. Wieżyczka ostatniego jest wyraźnie przechylona. Serce zabiło mi mocniej. Po chwili do naszych uszu dochodzi odgłos pojedynczych strzałów od strony Czerniakowskiej. I nagle zrywa się huraganowy ogień broni maszynowej. Zaczęło się natarcie. „Halicz” spojrzał na mnie i uśmiechnął się dziwnie. Nieopodal stał kapitan zwiadu artyleryjskiego i wsłuchiwał się z zadumą, jakby chcąc ocenić fachowym uchem losy bitwy. Ciszę przerwał „Witold”. – Na stanowiska, ataki czołgów mogą się powtórzyć!

Jego słowa były prorocze. Ledwo wróciłem do mojego okna, kiedy zaczął się huraganowy ogień granatników. W podchorążówce uczono nas, że jest to klasyczne przygotowanie do ataku. Znów nerwy napięte. Czaimy się za murami. Ale tam przecież nasi atakują. Było przygotowanie artyleryjskie, atakiem dowodzi major Łatyszonok, oficer zaprawiony w walkach. Pod bokiem ma pułkownika „Radosława”, no i tyle wojska i to z jakim uzbrojeniem. Zaterkotał nasz maxim. Długie serie, jedna po drugiej. Odezwały się peemy, teraz wybuchy granatów ręcznych. Nowy atak. Boże, żeby tamci już skończyli. Aby tylko doszli do Placu Trzech Krzyży. Tam już są nasi... Tu biegną Niemcy tyralierą. Zmieniam już drugi magazynek. Znów z mojego okna lecą drzazgi. Wtulam się w mur. Twardy nie ustępuje. Skądże ich tyle się wzięło? Jest! Jeden leży. Nasz cekaem rżnie bez przestanku. Uciekają. Jest! Trafiony jeszcze jeden. Dobrze, że berlingowcy przywieźli amunicję. Co za cisza. Dzwoni w uszach. Od strony Czerniakowskiej też głucho. Poszli naprzód.

Pierwszy wpadł Łatyszonok. Obrzucił nas błędnym wzrokiem. *Gdzie kapitan?* – rzucił zachrypłym głosem. – *Kapitan, bystro agoń, bystro!* Zaroiło się od zielonych mundurów. Pierwsza partia. Niestety... pierwsza i ostatnia.

Prawda okazała się jak zwykle okrutna. Żołnierze, którzy na ochotnika wylądowali na przyczółku, by nieść nam pomoc, byli parę miesięcy temu zrekrutowani na polskich ziemiach. Nie było czasu, żeby ich wyszkolić, szczególnie do walk w mieście. Wstrząśnięty patrzę na te twarze oblane potem, brudne od kurzu walących się murów i te oczy obłądnie szukające kolegów, z którymi wyszli do ataku. Noc ostrego pogotowia. Kapitan „Jerzy” spodziewał się dalszych ataków niemieckich. Nie nastąpiły. Dalsze forsowanie Wisły nie udaje się. Niemcy zorganizowali już zaporę ognia z mostu Poniatowskiego. Tej nocy z kilkudziesięciu wysłanych łodzi dobija do nas zaledwie kilka. „Jerzy” decyduje ewakuować rannych. Jest ich coraz więcej.

Od rana nieustający ogień ze wszystkich rodzajów broni. Gdyby nie artyleria sterowana przez kapitana zwiadu, to czołgi rozniosłyby w pył nasze pozycje. Okrąg jeszcze się broni. Większość jest rannych. My trzymamy Wilanowską 5 i 1, oddzielone wolną parcelą. Duszą obrony jest „Witold Czarny”. Solec 53, z którym mamy połączenie wykopanym rowem, jest prawie nieobsadzony. Dom jest wypalony. Leżą tam, w ciepłym jeszcze popiele, nasi ranni. Major Łatyszonok nie odchodzi od radiostacji. – *Dajcie pomoc, dajcie pomoc...*



Dopalający się dom na Solcu 39

Znowu granatniki. Aby tylko do nocy. Niemcy boją się ciemności. Ale czuwać trzeba. Jest nas coraz mniej. Za to jeść się chce coraz bardziej. Został podobno już tylko jeden worek sucharów. Szczęśliwie zastrzelono konia, który nie wiadomo skąd pojawił się nagle w samym środku walki. Niestety leży na przedpolu. Każda prawie wyprawa po mięso kończy się stratami. Głód można zapomnieć, ale pragnienie wysusza gardło. Już nie starcza śliny do przełykania. Słońce, jak na złość, pali. Żeby choć parę kropel spadło. Otworzyłbym szeroko usta i wychylił się do nieba. Czy jest naprawdę niebo? Jakie? Niebieskie? Pełne aniołów? A może to olbrzymie górskie źródło pełne lodowatej, przezroczystej do dna wody... O Boże... „Jur”! Nasza kolej, idziemy po wodę.

Jesteśmy już w domu na Solcu. Odór ropiejących ran uderza w nozdrza. Każde nasze stąpniecie podnosi tuman popiołu. Ranni zaczynają się krztusić. – Woody! Pić! Cicho, bo pobudzicie Niemców. – Czołgam się na boku przez jezdnię, trzymając jedną ręką dużą bańkę od mleka, tak aby nie bębniła po bruku. Zdobywcze manierki, przypięte do paska, obijają się beztrząsco za każdym poruszeniem, wprowadzając mnie w stan przerażenia. Wydaje mi się, że hałas jest tak duży, iż dolatuje z łatwością do mostu. Przywieram do jezdni i czekam strzałów. Cisza. Znow naprzód, ręce już mdleją, jeszcze trochę, jeszcze kawałek. Nagle ręka dotyka piasku. Jestem na brzegu. Czekam na „Śpiocha”. Jest. Dyszymy ciężko. Teraz do wody. Krzaki nas osłaniają. Leżąc na brzuchu, trzymam obie ręce w wodzie i piję bez pamięci. Co za rozkosz. Chlipiemy niesamowicie. Teraz bańki. Na chwilę kładę się na wznak. Niebo, gwiazdy, tam nie ma wojny. Wielki Wóz, Kasjopea... och jak dobrze... – „Jur” zbieramy się.

Powrót trudniejszy, ale nie mogę uwierzyć, żeby się nie udał. Bańka cholernie ciężka. – „Śpioch” – idź pierwszy. – Obserwuję z napięciem jego powolne ruchy. Ostrożnie przeciąga bańkę położywszy ją na panterce. Jeszcze raz, jeszcze krok... Dostrzegam z ledwością jego ruch ręki. Szczęśliwie noc bez księżyca. Zaczynam powoli przesuwając się w stronę budynku. Nagle nade mną biegnie strumień świetlików. Teraz słyszę terkot cekaemu. Nadludzką siłą zrywam się i biegiem, ciągnąc bańkę, dopadam do muru. Osuwam się zły potem. Na jezdni rozpryskują się świetliste pociski.



Powstańcze stanowisko obronne
w ruinach Czerniakowa

Walka rozgorzała ze wzmożoną siłą. Walą w nas czołgi, moździerze, broń maszynowa. Wszystko to zlewa się w jeden nieprzerwany huk. Gruz zasypuje nam oczy. Trzymam kurczowo peem i wpatruję się obłędnie przed siebie nic nie widząc. Trzymam napięty palec na języku spustowym, by móc natychmiast strzelić, gdyby wyłoniła się nagle sylwetka atakującego. Jest strasznie gorąco. Dodatkowa tortura to czerwotka. Wszyscy jesteśmy chorzy. *Agoń, agoń bystro, bystro, Semion, Semion, tu Jurapol, dawaj wsie baterie, tanki idut, Semion, Semion...* – Potężne eksplozje zagłuszają wołania radiotelegrafisty. Huk wzmaga się, po czym nagle następuje cisza. Terkoczą jeszcze kaemy. W bramie wejściowej gra jeszcze nasz maxim. To jedyni berlingowcy w boju. Nawet Maruszką nie może wzbudzić entuzjazmu do walki. Biedni chłopcy.

Tymczasem nasza kochana „Zosia” rozdziela po jednym sucharze i po kawałku surowego końskiego mięsa. Pomaga jej dzielnie „Kapralinka”. Dostajemy po kubku wody. Wypiłbym takich dziesięć, tak mam gardło wysuszone, a do tego gruz chrzęści między zębami.

Już świta. W szarzyźnie wstającego dnia obserwuję ciemną wstęgę Wisły i jaśniejące coraz bardziej domki Saskiej Kępy. Tak niedaleko. I chyba już tak zostanie. Tylko sen. Taki świat już nie wróci do nas. Świat całych, błyskających szybami domków to już tylko wspomnienie. Czuję rozpacz i tęsknotą za czymś, co wydaje mi się, nieosiągalne, już na zawsze stracone. Oglądam się przerażony, bo czuję łzy spływające po policzkach. Biegnę na dół, uciekam sam od siebie.

– Okrąg i Czerniakowska w rękach Niemców. Przecież noc była spokojna.

– Powtarzam ci, przed chwilą łączniczka wysłana z meldunkiem do „Radosława” ledwo wróciła z życiem – krzyknął zdenerwowany „Witold”. „Jerzy” podniósł się raptownie. – „Witold” wyślij patrole rozpoznawcze. Trzeba wiedzieć jaki teren został nam do obsadzenia. Ostatnie słowa padły razem z hukiem rozrywających się pocisków ciężkich moździerzy. Budynkiem zaczęły wstrząsać uderzenia pocisków z „tygrysów”.

Nastąpił przysłowiowy czas apokalipsy. Zmasowany szturm na nasze uszczuplone pozycje. – *Semion, Semion, agoń, agoń, bystro, bystro*. Przed wieczorem pada Wilanowska 5. Ginie „Kindżał”. Zapalający pocisk pada na dach naszego domu. Teraz nasz teren to płonący dom na Wilanowskiej 1 i wypalony już dom na Solec 53.

Podczas jednego ze szturmów niemieckich ginie „Jerzy”. Jesteśmy śmiertelnie zmęczeni. Podzieliliśmy służbę na trzech. Walka trwa całą dobę. Trzeba czuwać cały czas. Nasz cudowny maxim ratuje nas w czasie nocnych ataków. Jego długie serie nie pozwalają zbliżyć się atakującym. Załoga cekaemu z troską spogląda na szybko malejący zapas pocisków. Rano nagle urywa się łączność z drugim brzegiem. Baterie zasilające radiostację wyczerpały się. Huraganowy ogień szaleje od świtu. Czołgi podsuwają się coraz bliżej, ośmielone brakiem ostrzału artylerii radzieckiej. „Jerzy” naliczył dziewięć tygrysów bombardujących nasze pozycje. W pewnym momencie między seriami peemu przyszła mi nagle myśl, że baterie ocieplone można zregenerować. „Halicz” zajął moje okienko, a ja skoczyłem do radiotelegrafistów. Przecież dom się pali, więc ognia nie brak. Była kwestia, kto wczółga się na piętro, bo byliśmy już pod bezpośrednim ostrzałem z erkaemów, ale to zostawiłem im do rozwiązania. Nastąpiła przerażająca cisza. Jakby nagle zerwała się taśma filmowa w kinie. Nic nie wiem, co dzieje się od strony Solca. Stoję wmurowany w dziurę po pocisku czołgowym od strony Wilanowskiej 5 i z napięciem wypatruję każdego podejrzanego ruchu. Coś musi się stać. Słyszę kroki, ale z wewnątrz. – „Jur” zejź na dół, odprawa.

Cisza trwa nadal. Piwnica jest pełna naszych. Ochotnicy berlingowcy na czujkach. Przy stole siedzi Łatyszonok, „Jerzy”, „Słoń”, tuż koło mnie „Witold”, a po mojej lewej kapitan artylerii. Maruszka siedzi pod ścianą wyciągając na podłodze swe grube nogi. Reszta stoi w milczeniu. Ciszę przerywa „Jerzy”. – Przed chwilą Niemcy przystali rozjemców. Proponują, żebyśmy się poddali. Gwarantują respektowanie Konwencji Genewskiej. Ranni zostaną odtransportowani do szpitala. Reszta zostanie skierowana do obozu jeńców wojennych. Dają nam godziną czasu do namysłu. W razie odmowy, przypuszczają natychmiast ostateczny szturm na nasze pozycje, używając wszystkich rodzajów broni zmasowanych dookoła przyczółka.

Przetykam gwałtownie ślinę. W piwnicy absolutna cisza. Dym palącego się nad nami domu wpelza kąśliwymi smużkami z każdym powiewem leniwego wiatru. Wszystko stało się leniwe, powolne, a najbardziej nasze myśli. Tak trudno docierają do świadomości słowa, a właściwie ich znaczenie. Zawisły one w przestrzeni, tuż pod zaczerniałym sufitem. Dlaczego nikt nie mówi? Mam chęć krzyknąć. Strasznie gorąco. Pić, chociaż łyk. Nasi ranni mają może ostatnią szansę, żeby przeżyć – głos „Witolda” jest przyciszony, ale słowa wypowiedane są wolno, prawie skandowane, brzmią niezwykle wyraźnie. Nie można ich nie słyszeć. Łatyszonok siedzi nieruchomo. Jego lekko mongolska twarz jest jak martwa. Serce mi bije coraz mocniej. Wiem, że chodzi tu o życie i że najprościej uwierzyć, przecież sytuacja beznadziejna, jeszcze te wyczerpane baterie... wybiją nas. A jak się poddamy i nas wybiją ... ? I w ogóle poddać się? My geesy... Nagle przestaję się bać, chce mi się tylko strasznie pić.

„Jerzy” wstaje powoli i spoglądając po nas zaczyna mówić bardzo spokojnie mocnym głosem. – Jasnym jest, że musimy wykorzystać okazję i postarać się ewakuować rannych. Nasza sytuacja jest trudna. Ale póki mamy jeszcze broń trochę amunicji, musimy spełnić nasz obowiązek do końca. Dostaliśmy rozkaz, by bronić przyczółka, potrzebnego do lądowania wojsk, które mają pomóc naszemu powstaniu. Jeżeli plany się zmieniły, to przecież wiemy, że tu jesteśmy, że jest tu część ich armii. Musimy utrzymać przyczółek. Poprosimy Niemców o dwie godziny rozejmu, aby przygotować rannych do transportu. Kto chce, może iść z rannymi, bez broni. Nastąpi cisza, którą znów przerwał „Jerzy” zwracając się do Łatyszonka: – Czy pan, panie majorze, zgadza się z moim planem? – Major wymienił parę słów z kapitanem zwiadu, wstał i uściśnął rękę „Jerzemu”. – Czy zgadzacie się ze mną? – zwrócił się następnie do nas. Po kolei wstawaliśmy podnosząc rękę na znak zgody. Przez chwilę miałem wrażenie, że jest to jednocześnie nasze ostatnie pożegnanie.

– Wszyscy na stanowiska, „Słoń” przyszykuj białą chorągiew, pójdiesz ze mną, „Witold” zarządz zbiorke wszystkich dziewcząt. „Witold” podszedł do mnie. Błysnął mu w oczach ten jego kpiarski uśmiech. Klepnął mnie po ramieniu, przymrużył filuternie jedno oko i powiedział: – Wszystko będzie klawo, aby do wieczora. W nocy przeplnę na Saską Kępę, i jutro będzie desant. Na razie zostajesz komendantem placu. Czuwaj, nie spuszczać oka z bramy i strony od Wilanowskiej. Sprawdź, czy cekaemiści mają naładowane zapasowe taśmy do maxima. Wspiąłem się jedno piętro i stanąłem w oknie, by mieć dobry widok na bramę. Widzę stąd nawet kawałek rzeki. Po chwili czuję, że coś jest nie tak, że przedtem... no tak brak eksplozji, wybuchów, sypiącego się gruzu, terkotu kaemów. Cisza wprost niemożliwa. Zaczyna ogarniać mnie znużenie. Dwie doby prawie nie zmrużyłem oczu. Z moich wyliczeń wynika, że jest 23. września.

„Jerzy” ze „Słoniem” wrócili. Niemcy przyjęli warunki powtarzając pogrożki. Formuje się pochód rannych pomieszanych z resztkami ludności cywilnej. Powstaje problem. Żadna z naszych łączniczek i sanitariuszek nie chce iść na ochotnika do niewoli. „Jerzy” musi wyznaczyć rozkazem ekipę sanitarną. Wreszcie rusza długi rząd ludzi cieni, prowadzony przez białą płachtę zawieszoną na kiju. Co czują ci ludzie? Są zrezygnowani. Widzą przed sobą ostatnią szansę. Oby tylko nie podzielili naszego losu. Czy to nie są dwa wyjścia do tego samego piekła? Jeszcze prawie godzina zawieszenia broni. Panująca cisza zdemobilizowała nas zupełnie. Wszyscy chodzą po wypalonych piętrach. Z drugiej strony Wilanowskiej widać Niemców przyglądających się, naszym pozycjom. W pewnym momencie widzę radiotelegrafistę machającego z dołu ręką. Radiostacja ruszyła! – krzyczy szczerząc zęby. Może jednak przeżyjemy... Stoję oparty o framugę okna, bezwiednie błędę wzrokiem po zrujnowanym podwórzu, w bramie nasz kochany maxim, głowa opada mi ze zmęczenia. Och, żeby tak na sekundę zamknąć oczy... Śni mi się... Nie, nie śni! Na środku podwórza stoi żandarm ze schmeisserem z ręku. Drugi wybiega z garażu. Posyłam serię. Widzę, jak jego zielona kurtka znaczy się czerwonymi plamami... Wyskakuje „Witold”. – Alarm. Alarm! Na stanowiska! „Słoń”, „Juras” do... – reszta słów ginie w gwałtownych salwach niemieckich dreizerów. Na podwórze wpadają hand-granaty. Nasz kontratak jest bardzo skuteczny.

Niemcy zostawiają wielu zabitych i, co najważniejsze, broń, amunicję i, w chlebakach, knechtbroty, które z rozkoszą pożeramy w zawrotnym tempie. Tak znów się zaczęło. Nieustająca lawina pocisków wszelkiego kalibru, krzyk rannych, walący się gruz. Gdzieś esesmani wrzucili całe paczki trotylu. Wybuchy wstrząsają resztkami ścian. Czekamy bezpośredniego natarcia. Dzięki zabitym żandarmom mam trochę amunicji do mojego MP40, zdobytego jeszcze na Woli. Tak prędko się nie dam. „Witold” skacze przez podwórze. – Łączność z drugim brzegiem nawiązana! W południe, pod osłoną dymną przybędą barki desantowe, aby nas ewakuować! Za wszelką cenę musimy utrzymać przyczółek! – Nagle zaświstały pociski nad naszymi głowami. To Ruscy. Hurra!

Hej chłopcy bagno na broń... – Już myślami jesteśmy znowu na defiladzie w Alei Niepodległości w galowych mundurach... – Długa droga przed nami, ciężki trud...

Niemcy ciągle atakują. Od strony Wilanowskiej wysadzili pół ściany. Mnóstwo zabitych i rannych berlingowców, którzy tam się schronili. Czas idzie tak wolno. Dochodzi dwunasta. Wypatrujemy na drugi brzeg, brzeg ocalenia. Nagle przez klekot cekaemów przedziera się okrzyk: Zasłona dymna! Rzeczywiście. Pióropusz gęstego dymu zaczyna pokrywać plażę drugiego brzegu. Obserwujemy z zapartym tchem ten gigantyczny dramat, którego jesteśmy jednocześnie widzami i aktorami. Ogień niemiecki ucichł. Oni też czekają. Dym coraz gęstszy, przesuwa się wzdłuż plaży. Widok ten mnie raduje, ale wydaje mi się, że dym powinien zasłonić całą taflę wody. Tymczasem zachodni wiatr wyraźnie spycha czarną kłębiastą masę z powrotem w stronę białych domków. Wewnątrz domu jeszcze się cieszą, czekają na rozkaz. Ja zaciskam zęby i mam ochotę walić gołymi pięściami w poszarpany mur. No nic, trzeba umierać. Przybiegł „Witold”, klepnął mnie beztrąsko w ramię, chciał pewno powiedzieć coś pogodnego i dojrzał moje oczy. Musiały być przerażające, bo jego ręka zawisała w bezruchu. – „Co się stało?” – Odepchnął mnie gwałtownie i wychylił głowę. – „O cholera jasna” – krzyknął i rzucił się pędem w stronę piwnicy, krzycząc po drodze – „Na stanowiska, wszyscy na stanowiska! Rusznice! cekaem!”. Wspaniały. Poczuję się raźniej. Co za refleks. Skąd ta siła fizyczna i odporność psychiczna? Ja już słaniam się z głodu i zmęczenia, nie mówiąc o ciągłej huśtawce nastrojów. Nie skończył jeszcze wydawania głośnych komend, kiedy gruchnęły pierwsze salwy dział czołgowych. Jednocześnie ujrzałem parę kroków przed sobą wysoką sylwetkę esesmana z wymierzonym we mnie peemem. Jednak byłem szybszy. W bramie zagrał nasz maxim. „Witold” nosem wyczuł szturm. Zmieniam ostatni magazynek. Jeszcze mam jeden hand-granat zdobyty rano. Zagrzmiała rusznica ppanc. Ustał bezpośredni ogień erkaemów. Wycofują się. Jeszcze raz się udało.

Przybiega „Halicz”. – Będzie ewakuacja wieczorem. Jak się tylko ściemni wychodzimy na brzeg, tam gdzie stoi „Bajka”. Artyleria kładzie wał ogniowy na pozycje niemieckie, sto łodzi desantowych przyjeżdża, by nas zabrać na tamtą stronę. Aby tylko do wieczora. – Nie wiem, czy i tym razem śpiewać *Szturmówkę*? Może lepiej nie, żeby nie zapeszyć. Zaśpiewamy na tamtym brzegu. Patrzę na zegarek. Jest 4:30. Może przetrzymamy. Już wrzesień...

Nie dokończyłem dociekań astronomicznych, bo potężny wybuch szrapnela rzucił mnie na ziemię.

Duży kawał muru spadł mi na nogę. Ból straszny, ale noga cała, choć pokrwawiona. Chodzić mogę, więc kuśtykając rzucam się do mojej dziury. Nie szturmują. Za to bombardowanie dużo mocniejszymi pociskami. Chcą nas pogrzebać pod gruzami naszej podziurawionej i na pół spalonej twierdzy. Słychać złowieszczy chrzęst gąsienic. Są już gdzieś blisko. Czuć spaliny paliwa. Nagle wybuchy zagłuszają wszystko. Deszcz gruzu bębni po głowie. Wtem widzę szary kontur olbrzymiego cielska. Odruchowo zmierzam z moim peemem i w tym momencie zdaję sobie sprawę z mojego ruchu. Po prostu panika. Nie mam już żadnego granatu. Potężna lufa zakończona jakby małym metalowym koszyczkiem, powoli przesuwa się w moim kierunku. Stoję zahipnotyzowany. Lufa podnosi się teraz i odgaduję, że celem jest okno, które wychodzi z klatki schodowej. Ten strzał zawali wyjście z piwnicy, gdzie jest nasze dowództwo razem z radiostacją. Rzucam się przez podwórze w stronę wejścia. Już prawie dobiegam, gdy olbrzymi wybuch wali mnie na ziemię. Po nim, drugi mniejszy. Ale nic się nie wali, za to słyszę, głos „Witolda” – Cholera, ostatni gamon! Rusznica! poprawić jeszcze raz! Niestety już nie mam rakiet!

Zgrzyt gąsienic teraz wróży coś dobrego. Rzeczywiście, dopadłszy do dziury widzę oddalający się tył czołgu. Zaczęło się ściemniać, zauważyłem to w przerwie pomiędzy którymś z rzędu ataków. Niemcy oszaleli, a my skamienieliśmy. Ni pragnienie, ni głód, ni śmiertelne wprost zmęczenie nie zdołały złamać naszej woli doczekania nocy. I wreszcie przyszła. Zapomnieliśmy o całym dniu nadludzkich zmagani.

Przed nami jeszcze parę chwil oczekiwania, jeszcze trochę wysiłku. Ale co to w porównaniu z tym, co było. A tam w tych białych domkach...

– „Jur”! Skaczemy na brzeg. Tylko po kolei. Uwaga przez Solec. Barki dobijają do „Bajki”, ale na razie wszyscy padnij na piachu. Artyleria z tamtego brzegu otworzy ogień na cały teren na zachód od Solca. Pociski będą padać blisko. Nie ruszać się dopóki ogień nie ustanie. Kolejno maszerować. „Słoń” sprawdzisz czy wszyscy wyszli. Spotkanie przy statku.



Ruiny domu na Wilanowskiej 1

Maszerujemy między okropnymi karkasami murów. Chciałbym już być tam na piasku, ale coś mi szepcze, żebym się obejrzał. Nasz dom patrzy teraz na mnie swymi upiornymi oczodołami, pocernionymi wybuchami pocisków i ku mojemu przerażeniu te oczodoły mrugają do mnie płomykami ognia. Jest jakaś siła, która mnie ciągnie z powrotem. Nie opuszczaj mnie... Wrócić nie wrócić – „Jur” gdzie ty jesteś? słyszę, głos „Halicza”. Puszczam się biegiem w stronę Solca. Boję się obejrzeć. Może jednak duchy istnieją...

Grzebię w piasku wygodny rowek. Na razie cisza. Słysząc tylko skrzyp piasku ugniatanego licznymi butami. Niemcy chyba jeszcze się nie zorientowali, że opuściliśmy Wilanowską. Znow wróciły do mnie migoczące płomienie. Podniosłem się, by jeszcze raz na nie spojrzeć, gdy nagle olbrzymi pęd powietrza rzucił mnie na piasek. W parę sekund zagrzmiała seria wybuchów. Tuż nad naszymi głowami szybowało tysiące pocisków artyleryjskich skierowanych na pozycje niemieckie. Ten świst ogromnej masy żelaza był głosem lecącej śmierci. Odruchowo wtuliłem się mocniej w piasek. Nagle zapanowała cisza. Za to, od mostu Poniatowskiego odezwała się artyleria niemiecka. Widać dostrzegli jakiś ruch na tamtym brzegu. Po paru wybuchach pokazał się ogień w kilku nadbrzeżnych domach Saskiej Kępy.

Zrozumiałem ich przebiegłość. Pałace się wille oświeślały doskonale rzekę. Tymczasem słysząc już było ruch na tamtym brzegu. Na tle ognia dostrzegliśmy płynące barki. Niestety były to łodzie na wiosła. Ale płyną. Zaraz tu będą. Jakoś tam przebrniemy. Poszły rakiety w górę. Za chwilę na wodę zaczął spadać deszcz pocisków z granatników. Tryskają fontanny wody. Wchodzę na pokład „Bajki”. Ktoś chwytą mnie za ramię – „Kapralinka” Czuję, że cała drży. Przytulam ją do siebie. – Nie bój się, będzie wszystko dobrze.

Staram się ją uspokoić. Gładzę jej bujne włosy w milczeniu. Wydaje mi się, że każde słowo będzie kłamstwem albo uspokajaniem samego siebie. Jej policzek jest mokry. Patrz, już widać pierwsze łodzie. Rzeczywiście, przy każdym wybuchu błyskają mokre piórka wiosła, a czarne kadłuby są coraz bliżej. Dobijają dwie barki prawie równocześnie. Trzecia nieco mniejsza zbliża się bezpośrednio do brzegu. Na statku zaczyna się przepychanie. Nawoływania do porządku giną w tumultcie i ogólnym chaosie. Przez chwilę miga twarz „Jerzego”, który usiłuje przekrzyczeć tłum pchający się do przybyłych barek. Pierwsza już odpływa. Woda równo z burtą. Druga niemniej pełna nie może odbić, bo dziób zaplątał się w linę statku.

Mała łódź odbija chyłkiem niosąc na pokładzie Łatyszonka i Maruszkę. Wiosłują sami. Wreszcie odbija zaplątana barka. Wioslarze odpychają natrętnych, którzy usiłują docześcić się do burty. Nagle, niedaleko pierwszej barki wybucha pocisk. Przeciążona, zanurza się błyskawicznie. Krzyki tonących mieszają się z jazgotem karabinów maszynowych.

Stoję oniemiały trzymając ciągle „Kapralinkę” w ramionach. Odruchowo przyciskam jej głowę do piersi, tak żeby nie musiała patrzeć na to widowisko apokaliptyczne, nie grane, ale na żywo, na ten koniec naszych złudzeń. Niech ma nadzieję trochę dłużej niż ja... Seria kaemu bębni po blachach „Bajki”. To mnie otrzeźwia. Niemcy atakują wzdłuż brzegu! Lecę! Schowaj się gdzieś w kącie. Przyjdę po ciebie! Nie wierzę w moją obietnicę, ale skaczę na piasek i tu zaraz wita mnie wybuch granatu. Padam, robię wywrotkę i posyłam serię w stronę, gdzie słyszę tupot nóg. Z drżeniem myślę, że to ostatnie naboje. Po kilku skokach dobijam do naszych.

„Jerzy” organizuje przebiecie do Śródmieścia.

– Tu sytuacja jest beznadziejna. Żadna łódź już nie dobieje. Brak nam amunicji, żeby bronić się dalej. Jedyna możliwość to przebieć się do Śródmieścia. Idziemy w kierunku Placu Trzech Krzyży. Musimy dojść najpierw do ogrodu otaczającego Sejm i Głuchoniemych. Tamtędy dojdziemy łatwo do naszych. Szyk marszu następujący: szpica „Słoń” z „Haliczem”, następnie ja, „Wika”, „Żereń” i ktokolwiek został z naszych. Następnie pozostali berlingowcy i na końcu „Jur”, który teraz zostanie z cekaemem i będzie nas osłaniał od strony mostu.

Przyskoczyłem do maxima. Taśma jeszcze pełna, druga w zapasie. Aby tylko szybko odnaleźli drogę, to wytrzymamy. Niemcy, mimo nocy, naciskają coraz mocniej. Oczywiście, gdyby nie noc to już dawno by nas zmiotli. Ale długotrwałe serie naszego karabinu były nie do zwalczania. Nasi poszli. Czekam z napiętymi nerwami. – Chyba się zwijamy. – W ostatniej taśmie tylko parę kul. W tym momencie słyszę tupot nóg. Niemcy? Nie. Berlingowcy. – Co się stało? Na przodzie wszyscy zginęli. Musieliśmy się cofnąć. Sam nie wiem, co robić.



Ruiny Czerniakowa od strony Wisły, wiosna 1945.

Nagle słyszę człapanie w wodzie. Ku mojemu zdumieniu w moją stronę idzie Łatyszonok, cały ociekający wodą. Maruszki nie ma. – A, sukinsyny – rzekł krótko i dołączył do swoich żołnierzy. Zaczęło świtać. Zostało nas paru. „Witold” i „Nita” wyruszyli wpław przez rzekę jeszcze wczoraj wieczorem, by donieść o sytuacji dowództwu armii. „Wiktor” i „Czart” ranny w nogę, zniknęli gdzieś w nocy.

Reszta była w czołówce przebiecia. Widzę Olę, Irkę, Grażynę. Ze statku wychodzi „Kapralinka”. Koło mnie „Leszczyc”, „Pingwin”, „Sęp” z pustą taśmą od maxima na szyi, „Okularnik”, ktoś z naszych jeszcze wygrzebuje się z „Bajki”. Znowu zbliża się do mnie Łatyszonok. – „Ja poddaję się z moimi ludźmi. Wy, jak chcecie” – mówiąc to odwrócił się szybko, jakby wstydząc się tego, co powiedział i powolnym krokiem odszedł do swoich żołnierzy, którzy powiewali już białą flagą. Przez chwilę stałem zdruzgotany, złamany, bezradnie patrząc w ziemię. To taki koniec haniebny, a marzyło się o bohaterstwie, śpiewało „śmierć, nigdy niewola” a inni, co poginęli... Ktoś zawołał: – „Coś trzeba zrobić. Tu nie możemy stać na otwartym polu...”. Natychmiast otrzeźwiałem. Sytuacja jest beznadziejna, nie mamy już amunicji.

– Wszyscy rzucać broń! „Sęp” weź białą chustkę w rękę! Ostatnie słowa prawie wykrztusiłem. Coś ścisnęło mnie za gardło. Tak to zwykły przypadek zdarzył, że wydałem ostatni rozkaz na Przyczółku Czerniakowskim.

Z dala, od strony mostu, dały się słyszeć głośnie wołania. Idą Niemcy. Podbiegłem do „Kapralinki”. Chcę się z tobą pożegnać. Już się nie zobaczymy. Mówiąc to wyciągnąłem szybkim ruchem mojego zdobycznego w ataku na Spokojną „Waltera,” spojrzałem w okrągły otwór lufy i już naciągnąłem spust, gdy nagle poczułem gwałtowne szarpnięcie ręki. – Jędre! co ty robisz? To tchórzostwo! Co ty myślisz, że wojna tu się skończyła? Walka jeszcze trwa. Przysięgałeś walczyć do końca... a ty co?

Poczułem się, nagle jak dziecko złapane na brzydkiej psocie. Rzuciłem jak mogłem najdalej pistolet i otrzeźwiałem. Jak ja mogłem coś podobnego...? Przecież jej grozi niebezpieczeństwo. Zdejmij natychmiast panterkę. Masz tu mój medalik od chrztu. Pamiętaj, że jesteś podobna do Żydówki. Masz tu jeszcze mój znaczek geesów. Schowaj go dobrze. Teraz uciekaj stąd, idź do cywilów. Ja chcę iść z wami! Rób, co ci mówię – krzyknąłem. – Uciekaj czym prędzej, Niemcy są tuż. – Popchnąłem ją brutalnie wbrew mej woli.

Nagle usłyszałem tuż przy sobie – *Hände Hoch!* – Cios w plecy omal nie powalił mnie na ziemię. – *Wo ist waffen?* – Wzruszyłem ramionami. Potężne kolano powaliło mnie na kolana. Nie zdążyłem wstać, kiedy jakieś potężne łapy zaczęły ściągać ze mnie panterkę. Teraz dopiero zobaczyłem naszych oprawców. Trupie czaszki na czapkach. Esesmani. Ale na rękawach jakieś dziwne naszywki. SS-Viking. Olbrzymi feldfelbel pokrzykuje dyszkantem kopiąc na lewo i prawo. Nasze dziewczęta są policzkowane i kopane w straszliwy sposób. Esesmani zdzierają z nich panterki. Znów dostaję po twarzy. Esesman ryczy na mnie i wymachuje przed nosem pistoletem. Kątem oka widzę, że wyprowadzają dziewczęta w kierunku mostu. „Kapralinki” nie ma wśród nich. „Leszczyc” tarza się na ziemi z bólu. Dwóch esesmanów kopie go po lędźwiach. Reszta jest poniewierana w ten sam sposób. Ludzie Łatyszonka stoją z boku przyglądając się z przerażeniem. Nagle feldfelbel krzyczy do nas swoim falsetem: – *Alles marschiren!*

Esesmani prowadzą nas w stronę wypalonego domu na Solec 53. Jest zimno. Dopiero teraz spostrzegam, że po zdarciu panterki mam na sobie esesmańską oficerską koszulę, zdobytą jeszcze na Woli. Jak zauważą, to mnie zmasakrują. Zaczynam powoli ściągać ją z ramion, gdy potykam się o nieżywego berlingowca. Na nim płaszcz wojskowy. Błyskawicznym ruchem schylam się i udając potknięcie, zdzieram drogocenne odzienie przy pomocy „Sępa”. Na podwórzu nowa komenda: – Wszyscy pod ścianę i ręce do góry! Jednocześnie dwóch esesmanów ustawia się naprzeciwko nas z karabinami maszynowymi.

Rozumiem, że to ostatnie chwile. W głowie mam absolutną pustkę. Może żal, że po tylu przeżyciach. Ale nic mi się nie przypomina, ani dzieciństwo, ani moi bliscy, ani żadne wzniosłe myśli. Stoję wmurowany, słucham szczęku repetowanych erkaemów, ten dźwięk przypomina, że to za chwilę. Nie wzywam Boga ni diabła, stoję i z przerażeniem stwierdzam, że nic nie myślę. Może to już po wszystkim? Oglądam się czy inni jeszcze stoją i nagle spostrzegam strach w ich oczach, widzę, że ostatni trzęsie się... Coś skacze mi do gardła, nie wiem co mnie pcha do tego, skąd bierze mi się impuls, odzywam się nagle: – Chłopcy, głowy do góry, nie dajmy szkopom tej satysfakcji, żeby widzieli, że się boimy. – *Ruhe!* – krzyczy dyszkancik. Ale my stoimy prosto i patrzymy im w oczy. Nagle w tej ciszy, może przedśmierтной, słyszę dalekie kroki, nie pojedyncze, idzie jakiś oddział. Już blisko. Gruz, pobite szkło chrzęszczą coraz wyraźniej. Na podwórzu wchodzi porucznik Wehrmachtu z małym oddziałem żołnierzy. – *Was ist den loss?* – pyta oficer.

– To są bandyci na rozstrzelanie, schwytani dziś rano. – Armia niemiecka respektuje Konwencję Genewską. Jeńców wojennych się nie rozstrzeliwuje. – To nie są jeńcy, to bandyci – pokrzykuje dyszkancik. – Ja biorę odpowiedzialność za tych jeńców. Proszę odmaszerować z oddziałem. Niedobrze mi. Wyraźnie robi mi się słabo. Czuję, że za chwilę zemdleję. Opieram się o ścianę, zimny pot spływa mi ze skroni. Teraz boję się pokazać moją twarz towarzyszom broni...



Andrzej Wolski-„Jur” (z prawej) i Henryk Kozłowski-„Kmita” (z lewej) -

Pseudonimy:

- „Andrzej Morro” – Andrzej Romocki (zginął na Czerniakowie);
- „Anoda” – Jan Rodowicz (zamordowany w styczniu 1949 przez UB na Koszykowej w Warszawie);
- „Czart” – Stanisław Lechmirowicz;
- „Grażyna” – Grażyna Zasacka, łączniczka, zamordowana przez Niemców 24. września;
- „Halicz” – Henryk Kończykowski;
- „Irka” – Irena Kowalska-Wuttke, łączniczka, zamordowana przez Niemców 24. września;
- „Jerzy” – kpt. Ryszard Białous, dowódca Batalionu „Zośka”;
- „Jerzyk” – Jerzy Weil, poległ na Wilanowskiej 1;
- **„Jur” – Andrzej Wolski, autor wspomnienia;**
- „Juras” – Jerzy Grundman;
- „Kapralinka” – Maria Matuszewska;
- „Kindzał” – Leszek Kidziński, poległ na Wilanowskiej 5;
- „Leszczyc” – Tadeusz Sumiński;
- „Medyk” – Józef Szamborski;
- „Nita” – Stanisław Krupa;
- „Okularnik” – Wiesław Grabowski;
- „Ola” – Barbara Plebańska, łączniczka, zamordowana przez Niemców 24 września;
- „Pingwin” – Jerzy Kobza Orłowski;
- „Radosław” – płk. Jan Mazurkiewicz, w Powstaniu dowódca wyborowego „Zgrupowania Radosław” utworzonego w Powstaniu z Batalionów „Parasol”, „Zośka” i „Miotła” Kedywu KG AK oraz batalionów „Czata-49”, „Pięść” oraz oddziału kobiecego „Dysk”;
- „Sęp” – Wojciech Markowski;
- „Słoń” – Jerzy Gawin (zginął w ostatniej próbie przebicia się z Czerniakowa do Śródmieścia);
- „Szczęsny” – NN, poległ na Wilanowskiej 1;
- „Śpioch” – Julian Laskowski, poległ na Wilanowskiej 1;
- „Wika” – Maria Całka;
- „Wiktor” – Bogdan Celiński;
- „Wilk” – Gen. Aleksander Krzyżanowski, komendant Okręgu Wileńskiego AK, zmarł w więzieniu mokotowskim w Warszawie w roku 1951;
- „Witold” – Witold Morawski;
- „Zosia” – Zofia Stefanowska, sanitariuszka;
- „Żereń” – Jerzy Łukoski.

Pierwodruk tego wspomnienia ukazał się w dwumiesięczniku *Arcana* 3, Kraków, maj-czerwiec 1995.

Andrzej Wolski, ps. „Jur” urodził się 5. października 1924 roku w Warszawie. W roku 1939, po ukończeniu trzeciej klasy III Gimnazjum Miejskiego, wybuch wojny przerwał jego naukę. Kontynuował ją w ramach kompletów tajnego nauczania, na których w roku 1943 uzyskał świadectwo dojrzałości. Zapisał się do tajnej Państwowej Szkoły Technicznej w Warszawie. Powstanie Warszawskie przerwało mu dalsze studia. Do konspiracji wstąpił w 1939 roku, jeszcze w pierwszych działaniach nie skoordynowanych grup harcerskich. Masakra w Wawrze w roku 1940 dała impuls do zorganizowanej akcji harcerstwa, które przyjęło kryptonim „Szare Szeregi.” Brał czynny udział w akcjach Małego Sabotażu w drużynie „CR200.” W roku 1942 powstał KEDYW (dowódca płk Emil Fieldorf-„Nil”), a w jego ramach tzw. Wielka Dywersja, do której wcielone zostały m.in. grupy harcerskie jako Grupy Szturmowe (GeeSy). W ramach GS brał udział następujących akcjach zbrojnych: Akcja pod Arsenalem, Celestynów, Sieczychy, Rogoźno (akcja „Jula”), Pol 47 (dowódca akcji), Pogorzel, Szymanów. W roku 1944 ukończył konspiracyjną szkołę podchorążych „Agrykola” jako kapral podchorąży.

W Powstaniu Warszawskim walczył w Batalionie „Zośka” w Zgrupowaniu „Radosław”. Dowodził początkowo drużyną, a potem był kolejnym dowódcą plutonu „Felek”. Walczył najpierw na Woli, potem na Starówce. 31. sierpnia z nieliczną grupą żołnierzy przebił się ze Starówki przez Ogród Saski do Śródmieścia. Wziął udział w rozpaczliwej obronie Przyczółka Czerniakowskiego w oczekiwaniu na desant sowiecki. 24-go września na Czerniakowie dostał się do niewoli niemieckiej i został wywieziony do obozu jeńców wojennych. Był dwukrotnie ranny i odznaczony na Woli Krzyżem Walecznych. Wyzwolony 25. kwietnia przez armię brytyjską, wyjechał do Francji, gdzie został oddelegowany na studia w Université de Grenoble. W lipcu 1946 wrócił do Warszawy. Kontynuował studia na Politechnice Warszawskiej. 3. stycznia 1949, równocześnie z Henrykiem Kozłowskim oraz Andrzejem Sowińskim został aresztowany przez MBP/UB. (24. grudnia 1948 został już zaaresztowany Jan Rodowicz a w połowie stycznia 1949 aresztowano kilkudziesięciu byłych żołnierzy i łączniczek ze Zgrupowania Radosława). Pod zarzutem usiłowania obalenia ustroju Andrzej Wolski został skazany na 10 lat więzienia na mocy artykułu 86 par. 1,2 KKWP. W roku 1954, po pięciu latach więzienia na Mokotowie i w Rawiczu został zwolniony.

Po pewnym czasie udało mu się powrócić na studia na Wydziale Elektroniki Politechniki Warszawskiej, gdzie uzyskał dyplom magistra, a w roku 1966, stopień doktora nauk technicznych. W roku 1967 wyjechał z żoną i dwojgiem dzieci do Zairu. Pracował jako profesor elektroniki na tamtejszym uniwersytecie. Z Zairu, przeniósł się do Kanady, gdzie kontynuował karierę uniwersytecką. Był profesorem na Université de Moncton, NB, po czym, jako dziekan, stworzył Wydział Elektryczny w Ecole de Technologie Supérieur na Université du Quebec de Montréal. Wyjeżdżał z wykładami do kilku państw afrykańskich. W latach 1990-1996 był Prezesem Oddziału Kongresu Polonii Kanadyjskiej w Prowincji Québec.

Jest autorem książki „*Akcja Celestynów*” (1993; o akcji zdobycia w Celestynowie pod Warszawą pociągu transportującego więźniów) oraz książki „*Drzwi bez klamki*” (wspomnienia z więzienia mokotowskiego; Wyd. Słowo, Warszawa 1995).

**Andrzej Wolski ps. „Jur” spoczął w Panteonie Polski Podziemnej na
Powązkach Wojskowych.**

Z wielkim żalem zawiadamiamy,
że dnia 28 kwietnia 2011 roku
zmarł w Kanadzie w wieku 86 lat nasz Kolega


por. WP
Andrzej Wolski
pseudonim „Jur”

dowódca 4. drużyny plutonu „Felek”
kompanii „Rudy” Batalionu „Zośka”,
od 1940 roku w Organizacji Małego Sabotażu „Wawer”
i Szarych Szeregach,
od 1942 w O.S. „Jerzy” Kedywu Komendy Głównej AK,
ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Piechoty „Agricola”,
uczestniczył w akcjach zbrojnych: „Arsenal”, „Celestynów”,
„Sieczychy”, „Szymanów”, „Pogorzel”, „Rogożno”, „Polowanie 47”
oraz w szkoleniu w „Bazie Leśnej”,
w Powstaniu Warszawskim przeszedł cały szlak bojowy Batalionu,
walcząc na Woli, Starym Mieście i Czerniakowie, dwukrotnie ranny,
uczestniczył w przebiegu ze Starego Miasta do Śródmieścia,
jako jeńiec, przebywał w obozach Skierniewice i Sandbostel.

W latach 1949-1952 więzień katowni stalinowskich,
potem pomimo dalszych prześladowań
ukończył Politechnikę Warszawską
i uzyskał stopień doktora nauk technicznych,
po czym wykładał i prowadził prace badawcze na wyższych uczelniach
Kanady i krajów afrykańskich, otrzymując tam tytuł profesora.
Prezes Polonii Kanadyjskiej na prowincję Quebec,
autor wielu prac naukowych oraz wspomnień powstańczych
i więziennych.

Uhonorowany Krzyżem Walecznych,
Warszawskim Krzyżem Powstańczym, Krzyżem Armii Krajowej,
Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi dla Rzeczypospolitej,
odznaką „Za Zasługi dla Miasta Warszawy” oraz innymi odznaczeniami.

Łączymy się w bólu z
Rodziną Zmarłego
Środowisko Żołnierzy Batalionu „Zośka” AK
i Społeczny Komitet Opieki nad Grobami Poległych Żołnierzy Batalionu

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że w dniu 28 kwietnia 2011 roku w Montrealu
zmarł

prof. dr inż.
Andrzej Wolski

Żołnierz batalionu „Zośka”,
absolwent Wydziału Łączności Politechniki Warszawskiej.

O terminie i miejscu pochówku zawiadomimy oddzielnie

koleżanki i koledzy ze studiów



Nazwiska poległych wyryte na murze w kwaterze Batalionu „Zośka”
na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach

Solidarność PW – Pismo OZ NSZZ „S” w PW wydawane przez Komisję Zakładową
e-mail: nszz@ca.pw.edu.pl; adres internetowy: www.solidarnosc.pw.edu.pl
tel. 22 234 78 72; tel./fax 22 234 53 43